

200.000 dzieci poszukuje ojców

Tragedja małżeństw sowieckich. — Mąż 7-miu żon

Rzecz dzieje się na przedmieściu Moskwy, w Sądzie Okręgowym. Jest pora przedpołudniowa. Na długich ławkach, umieszczonych pod ścianami, siedzą młode kobiety z dziećmi.

Wszystkie zostały opuszczone przez mężów, wszystkie przyszły żądać sprawiedliwości i alimentów od małżonków, którzy je opuścili.

STARA HISTORIA

Drzwi od pokoju, w którym urzęduje sędzia, otwierają się. Pisarz sądowy wywołuje głośno:

— Katerina Iwanowna Ligiszn!

Młoda, może zaledwie 22-letnia kobieta, wyglądająca jednak wskutek zmierzowania na znacznie starszą, podnosi się z ławki i ujmując za rączkę 3-letnią dziewczynkę, kieruje się do pokoju sędziego.

— Więc co zamierzacie począć, towarzyszyko? — pyta sędzia.

Druga strona w procesie, pozwany Siergiej Federow Ligiszn nie stawiał się do sądu. Przebywa na Uralu, gdzie dostał pracę w kopalniach.

Opuszczona kobieta rozpoczyna opowiadanie swojej historii. Przed 4-ma laty, jako 17-letnia dziewczyna, pracowała w hucie „Molotow”. Tam właśnie poznała Siergieja. Pokochali się i pewnego dnia zarejestrowali się jako małżeństwo. Wkrótce potem mąż jej wraz z grupą kolegów udał się do Kazania, gdzie miał otrzymać dobrą płatną pracę. Zapewniał ją, że skoro tylko urządzi się tam na miejscu, zaraz do niej napisze, aby przyjechała wraz z dzieckiem. W istocie po paru tygodniach przysłał list, w którym nie było żadnej wzmianki o jej przyjeździe. Przesłał natomiast trochę pieniędzy. Później nie przysyłał już ani listów, ani pieniędzy i Katarzyna Iwanowna dowiedziała się, że jej mąż żyje z jakąś dziewczyną.

Sędzia wysłuchuje tego wszystkiego spokojnie, poczem monotonnym głosem powtarza pytanie:

— Więc co zamierzacie począć, towarzyszyko?

Katerina Iwanowna nie wie co ma począć. Ściągać tego łajdaka to byłoby głupie, więc chce jakiegoś odszkodowania. Niech płaci alimenty, niech daje na dziecko.

200.000 DZIECI BEZ OJCÓW

Sprawa Kateriny Iwanowny Ligiszn jest sprawą zwykłą i pospolitą. Codziennie przed jednym sądem odbywa się przeszło 30 takich procesów, a przeprowadzona ostatnio statystyka wykazała, że ponad 200.000 dzieci w Rosji Sowieckiej zostało opuszczone przez rodziców, którzy rozeszli się z takich czy innych powodów. Za-

zwyczaj ma tu miejsce jednak opuszczenie żony przez męża.

Niedawno znalazła się na wokandzie sprawa pewnego obywatela sowieckiego z Rostowa nad Donem, który w ciągu trzech lat był 7-krotnie żonaty. Z trzema pierwszymi żonami przeprowadził rozwód formalnie, potem jednak już nie fatygował się załatwiać spraw sądowo, tylko poprostu

przenosił się do coraz to innej okolicy i tam, nie mając rozwodu z poprzednią żoną, pobierał się z inną i pozostawiał pamiętkę w postaci kwikłego niemowlęcia. Jeśli kobieta nie mogła dać sobie rady z utrzymaniem dzieciaka, starała się go pozbyć za wszelką cenę. Przeważnie podrzuciła. Jeśli to było niemowlę, znalazło przytułek w domu wychowaw-

czym. Starsze jednak dzieci, które nie chcą przebywać w domach wychowawczych lub też z jakichkolwiek względów nie są tam przyjmowane, w wypadku opuszczenia ich przez rodziców, przyłączają się do grasujących po całej Rosji gromad dzieci bezdomnych, stanowiąc tak wielkie niebezpieczeństwo dla Rosji dzisiejszej i Rosji przyszłej.

Zgubiony kalosz czyli biurokracja sowiecka

Świetny satyryk sowiecki, M. Zoszenko, drukuje w prasie sowieckiej poniższe opowiadanie:

Wszedłem do tramwaju — oba kalosze na miejscu. Pamiętam, jak teraz. Jeszcze dotknąłem ich ręką, żeby wiedzieć, czy je mam. Wychodzę z tramwaju, patrzę: jeden kalosz siedzi, jaki miłutki, a drugi ułotnił się jak kamfora. But mam! I skarpetka, sprawdzam, jest! I spodnie są na miejscu! Ale po kaloszu ani śladu. Nie mogę przecież biec za tramwajem.

Po pracy zacząłem szukać. Napróżd poradziłem się jednego znajomego konduktora. Ten wprost mi powiedział, co mam robić.

— Podziękuj Bogu, że zgubił kalosz w tramwaju. To ci się udało, żeś właśnie go zgubił w tramwaju. Gdybyś go zgubił gdzieś indziej — nie rzeczybył, ale w tramwaju — znajdziesz napewno! Mam specjalny oddział zgub. Przyjdź i weź sobie swój kalosz.

— No — powiedziałam — dziękuję.

Kamień spadł mi z serca. Zwłaszcza że kalosz był prawie nowy. Nosilem go dopiero trzeci sezon. Następnego dnia pojechałem do biura zgub.

— Bracie — mówię — mógłbym dostać kalosz spowrotem? W tramwaju zdjeli mi go.

— Mógłbyś — mówi — a jaki był?

— Kalosz — odpowiadam — jak kalosz. Numer dwunasty.

— U nas — słyszę na to — leży może dwanaście tysięcy kaloszy numer dwunasty. Powiedz, jak wyglądał.

— Jak wyglądał? Ot, zwyczajnie. Stylu trochę odarty. W środku niema flaneli — podarła się. — U nas — mówią mi — leży takich kaloszy może tysiąc. Nie ma twój kalosz jakichś specjalnych znaków?

— Specjalnych znaków? Są! Szpie wygląda, jakgdyby był zupełnie oderwany, tylko trochę się jeszcze trzyma. A obcas? Prawie że go niema. Ale boki trzymają

się jeszcze dobrze.

— Usiądź, poczekaj, zobaczmy.

Po chwili przynoszą mi mój kalosz. Ze szczęścia pociemniało mi w oczach. Byłem silnie wzruszony. I dumny. Widzicie, jak aparat funkcjonuje! A jacy ludzie są ideowi! Ile trudu zadają sobie z jednym kalosem!

— Dziękuję — powiedziałam — przyjaciele, dziękuję z całego serca. Dajcie mi kalosz, włożę go zaraz. Dziękuję.

— Ale gdzie tam. Miły druhu, nie możemy go dać. Nie wiemy. Może nie tyś go zgubił...

— Ależ ja, ja go zgubiłem, czyście zwariowali?

— Wierzymy — mówią wspólnie — z tobą. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, żeś ty właśnie ten kalosz zgubił. Ale wydać go nie możemy. Przynieś zaświadczenie, żeś go naprawdę zgubił. Niech ci administrator to zaświadczy, a wówczas odrazu wydamy ci kalosz.

— Bracia — powiedziałam — drodzy bracia! Przecież w domu o tem nikt nie wie. Nie dadzą mi takiego papieru.

— Ale dadzą, nie bój się. Poczłoby tam byli.

Spojrzałem jeszcze raz na kalosz i odszedłem. Na drugi dzień udałem się do administratora naszego domu.

— Dajcie mi — mówię — zaświadczenie. Kalosz zgubiłem.

— Naprawdę zgubiłeś go? Czy też może tylko tak mówisz? Może cheesz w ten sposób zdobyć naliczbowy przedmiot codziennego użytku?

— Jak Boga kocham — mówię — zgubiłem go.

— Napisz — mówi mi administrator, prezes naszego domu — deklarację.

— A co mam napisać?

— Napisz, że tego a tego dnia zgubiłeś kalosz. I tak dalej.

Napisałem deklarację. Na drugi dzień dostałem oficjalne potwier-

dzenie. Poszedłem z tem świadectwem do Biura zgub. A tam, przedstawiając sobie, kalosz mi wydali bez żadnych trudności.

Ale nie przeznaczone mi widać było to szczęście: mieć oba kalosze. Przez ten tydzień, co starałem się o otrzymanie drugiego kalosza, zgubiłem pierwszy. Nosilem go stale pod pachą, zapakowany. Nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, gdzie go zostawiłem. Ale zdaje mi się, że nie w tramwaju. To straszne, że nie w tramwaju. Gdzie go szukać?

Ale zato mam drugi kalosz. Postawiłem go na komodę. Jeśli będzie mi kiedyś smutno, spojrzę na kalosz — mój kalosz — i odrazu zrobi mi się łatwiej na duszy, jakoś beztrudno.

Jesień na morzach Południa

Ucieczką przed kaprysami naszego klimatu jest udział w wielkiej wycieczce morskiej

wokół Europy

na komfortowym statku „KOSCIUSZKO” od 10 do 30 września 1935 r.

TRASA WYCIĘŻKI:

Gdynia — Antwerpja (Bruksela) — Cadix (Sewilla) — Algier — Pireus (Ateny) — Istanbul — Konstanta.

Ceny biletów wraz z paszportami i wizami

od zł. 400.—

INFORMACJE I ZAPISY

GOYNIA-AMERYKA LINJE ŻEGLUGOWE S. A.

WARSZAWA

Plac Małachowskiego 4

oraz upoważnione

BIURA PODRÓŻY

Wobec wielkiej frekwencji prosimy o wcześniejsze zamawianie miejsc



Gdy już siedzicie w pociągu, niebo jest czyste, wiatr ziągodniał i zmienił kierunek, morze szumi leniwą szmaragdową falą. Jest to jeden z mniej dowcipnych wybrków natury.

Ila, trudno!

Jedyna korzyść, jaka możnaby osiągnąć, to sympatyczne towarzysztwo w drodze powrotnej. Z tem trzeba się śpieszyć, bo miła Basia, Zosia czy Halina, którą na morskim terenie można bez uprzedniego zawierania znajomości wziąć na ręce, zanurzyć w morskiej pianie, a później wysuszyć na piasku — ta sama panna w Warszawie spojrzysz na ciebie z pogardą i mruknie:

— Niech pan się ode mnie odcepi!...

— Z obcymi nie rozmawiam...

— Nie wiem, kto pan jest...

Rozejrzawszy się w pociągu, znajdujesz mile towarzyszek.

— Smutno opuszczać Jastarnię — mówię z westchnieniem.

— O tak, bardzo smutno — odpowiada ci Basia, Zosia czy Halina.

Gdy potem jesteście już w najlepszej przyjaźni okazuje się, że Basia przesiada się w Bydgoszcz, Zosia w Toruniu, a Halina w Kutnie. Na ich miejsce pakuje się do przedziału dwóch brodatych żydów i dwie paniusie z pięcioma wrzeszczącymi bachorami.

Jest noc, stoisz w oknie wagonu i wdychasz miast słonowego zapachu morza, gryzący dym lokomotywy. Koła pociągu wystukują na szynach znaną melodyjkę:

Tram tara ta
tram tara
Panno Anno!
Tram tara ta
tram tara
Panno Anno!

O świecie jesteś w Warszawie i z przerażeniem spoglądasz na morze wyblakłych twarzy i ławice szarych facetów, płynących z łeczkami — jest ci niemilo i nieprzyjemnie. Jur.

Olbrzymi jesiotr w małej rzeczce

LWÓW, 8.8. — W okolicach Parchoza rybacy złowili w rzece Rata, dopływie Bugu, olbrzymiego jesiotra, wagi 90 kg. i długości 2,3 metra. Jest rzeczą niezwykłą, że tak olbrzymi jesiotr zawędrował w te strony.

Antoni Marczyński

146

Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

Radza zapewnił postów, iż życzenie sabwasa załatwi przychylnie jak tylko można będzie najwcześniej, odprawił ich z hojnemi darami, ale w liście do siostrzeńca zamieścił dyskretny dopisek:

Mały Niszi! Wyknij się stamtąd niepostrzeżenie i wracaj natychmiast, inaczej czeka Cię los zakładnika: należy zaś przypuszczać, że sabwas z zakładnikiem obszedłby się okrutnie. Uciekaj więc cpoedrzej!

Bahadur bynajmniej nie zamierzał oszukać Paza-Nienga; uważał go za niezłą partję, przecieć niegdys swatał go z swoją siostrzenicą, Premlatą, a po jej tragicznej śmierci uznał go za najodpowiedniejszego kandydata na męża Szamy. Lecz Bahadur przywiązał się ogromnie do swej rzekomej córki i myśli o rychłej rozłące z nią była dlań nie do zniesienia.

— Ona jest moim słonkiem, mojem wszystkim, — zwierzał się Dewadacie, jednemu człowiekowi, do którego miał pełne zaufanie. — I tak sabwas znacznie dłużej będzie się nią cieszył, niż ja, niechaj więc Szama pozostanie tutaj, dopóki nie zamknę oczu na zawsze... A to nastąpi zapewne już za parę lat, prawda, Dewadatto?

Wierny sluga przedłużał mu te lata w nieskończoność, lecz w lutym radza zrozumiał sam, że ma przed sobą najwyżej kilka tygodni życia.

— Co zamierzasz zrobić po moim zgonie? — zapytał raz Zosię. — Sądzę, że wtedy nareszcie będę mógł wrócić do Europy. — Tak. Zatem powrócisz do swoich. Z dzieckiem? — No, oczywiście! — wyrwała się niebacznie.

Oczywiście! Bahadur nie wątpił w to, że po jego śmierci Zosia zawojowałaby z łatwością Niszego i wymogłaby na nim uwolnienie jej wraz z Szamą. A gdyby nawet Niszi oparł się jej prośbom i wypełnił ostatnią wolę wujka, to gdzie pewność, że on zdoła upilnować ją tak, jak to było dotychczas, że Zosia nie zbiegnie do Anglików i nie wytoczy procesu o swoje dziecko w angielskim sądzie? Naturalnie wygra proces, gdyż biali są bardzo solidarni, gdy chodzi o wyzysk kolorowych, odzyska Szamę i należną jej część spadku po nim, po Bahadurze, wyda córkę za mąż za jakiego Anglika, który... tegoby tylko brakowało!... będzie się rozpierał tutaj w Czao - ping!

— O, niedoczekanie wasze!

Radza uznał teraz, że należy Szamę wydać zamaż natychmiast i urządzić wszystko tak, aby Zosia nie dowiedziała się nigdy, kto został jej zięciem i nie mogła mu później córki odebrać z pomocą Anglików. Ponieważ trudno byłoby ukryć przygotowania do dalekiej wyprawy kilkudziesięciu ludzi z całym taborem wozów, Bahadur obwieścił wszemwobec, że wysłał poselstwo do jednego z radzów w Radżputanie, z którym pragnie nawiązać przyjazne stosunki. To oczywiście Zosi nie zainteresowało ani trochę, po dawnemu udzielała córeczce lekcji pisania, czytania, rachunków i... w największej tajemnicy... religij, nie troszcząc się o zamęt panujący w pałacu. Wreszcie pewnego popołudnia karawana wyruszyła w drogę, ale bez Dewadatty, który wraz z dziesiątkiem jeźdźców miał ją nazajutrz dopędzić. Przed wieczorą do ulubionej potrawy Zosi dodano nasennego środka, aby spała tej nocy "kamiennym snem. Dzięki temu ani drgnęła, gdy z sypialni wynoszono jej córkę.

— Cicho, maleńka, twoja mama pojedzie także, — zapewniał Dewadatta płacząc Szamę, poczem zaprowadził ją do Bahadura.

Radza trzymał się ostro, choć wzruszenie dławilo go dzisiaj, jak nigdy w życiu dotychczas; wiedział przecieć, iż córki nie ujrzy już nigdy, a najwierniejszego slugi także zapewne.

— Pomnij zawsze, najmilsza Szamo, że w twoich żyłach płynie krew książąt Pagan, dawnych władców Birmy, których berło na-

leży się tobie! Może bogowie będą łaskawsi dla ciebie, niż dla mnie byli, może niebawem zasiądziesz na tronie w pałacu przodków, w Mandalay. A skoro to nastąpi, zapomnij na zawsze, iż twoja matka była białą kobietą. Ty należysz do naszej rasy, ty białą nie jesteś!

— Jestem! — zawołała Szama - Roberta, która z całej uroczystej przemowy zrozumiała tylko ostatnie cztery wyrazy i pokazała Bahadurowi swoje białe rączki. — Ja nie chcę, żeby mi czerniały, ja chcę być białą.

— Sądę, — Bahadur zwrócił się do starego slugi w innym języku, aby Szama nie zrozumiała, — że potrafisz wyleczyć ją z uprzedzeń, jakie w nią wpoila jej matka. I niechaj dziecko opala się jaknajwięcej. Ona rzeczywiście jest obrzydliwie biała... No, komu w drogę...

— O, panie mój! — jęknął Dewadatta, osuwając się na kolana, — azali zobaczę cię jeszcze, czy też moje kości pozostaną tam, w krainie Shan...

— Ja umrę weześniej.

— Nie, nie, wasza królewska wysokość, proszę tylko unikać wybuchów gniewu, gdyż mówił znachor, że...

— Wiem, wiem, będę mu posłuszny.

Tymczasem już nazajutrz nie udało się uniknąć wybuchu gniewu, który spowodował drugi atak. A trzeci atak miał skończyć się katastrofą, tak orzekł znachor. Zosia stwierdziwszy, że jej córeczka zniknęła ubiegłej nocy, wdara się przemocą do komnaty Bahadura.

— Gdzie moje dziecko?! — wrzasnęła, szamocząc się z wartownikami zaciekle. — Mów, dokąd ją wysłałeś, albo!...

— Do jej przyszłego małżonka.

— O, wy zbrodniarze! Dziewięćioletnie dziecko i...

— Kochanie, — wtrąciła Kamala, która przybiegła tu zwabiona głosem wrzawy, — u nas dziewczęta wychodzą zamaż jeszcze wcześniej. Ja sama...

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22, telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dla polityczny i ekonomiczny); 6.66.60 (dział miejski i liter-art.); 6.66.58 (międzymiastowy) Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkami niedziel i świąt w godz. 12—13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zgoda 691-64. Prenumerata 691-66.
Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.
PRZEDTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefina 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Ogłanka 26, tel. 136.
PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa zł. 3.20 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.20 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-jej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Uciechowski.